Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

Nr. 36. POZNAŃ, dnia 9. Września. **1843.**

Literatura krajowa.

LIST
STANISŁAWA LESZCZYŃSKIEGO
KRÓLA POLSKIEGO

do

CÓRKI SWÉJ KRÓLOWÉJ FRANCUSKIÉJ.

(Z Francuskiego autografu przełożone.)

(Dokończenie.)

Na tak niespodzianą przeszkodę paniczny przestrach ogarnął mych towarzyszy: poczęli nalegać żebym się wrócił. — Widząc jednakie w obu razach niebezpieczeństwo tłumaczyłem im, że lepiéj uzbroić się w grube kije, aby w razie napadu mniejszéj liczby kozaków, można ich było odpędzić, lub gdyby w przemagającéj naszli nas sile, użyć tego samego tłumaczenia, które tak łatwo zbawiło naszego gospodarza. Uwagi te żadnego nie osiągnęły skutku. Gospodarz mój niewidząc żadnego środka ratunku, poszedł wyszukać bezpieczniejszego jakiego przejścia; przez ten czas leżałem przyczajony do ziemi, musząc znosić narzekania mych towarzyszy, którzy co chwila powtarzali że niechcą wisieć z méj przyczyny, i już chcieli mię opuścić. Zaledwiem mógł ich uprosić, żeby się zatrzymali do powrotu gospodarza. Jakoż przyszedł wkrótce, upewniając nas, że kozacy odjechali i przejście zupełnie było wolne. Wsiadamy na konie, zostawując z tyłu naszych wieśniaków w każdéj chwili gotowych do ucieczki. O pół mili ujrzeliśmy jadący drogą wóz moskiewski z trzema żołnierzami; niechcąc być dostrzeżeni, skryliśmy się w gęstwinę; o sto kroków daléj zostawiwszy konie, resztę drogi przebyliśmy pieszo. Gdyśmy już dochodzili do miejsca na przewóz obranego, ukryłem się w krzakach, mój zaś gospodarz poszedł zobaczyć, czy łódź w pogotowiu; — wrócił niezadługo po mnie, a wtenczas i nasi wieśniacy nie czując żadnego niebezpieczeństwa śmieléj za mną pobiegli. Tak więc dnia tego przewiozłem się przez Wisłę, za widoczną tylko opieką Boga.

Dnia 2. Lipca w Piątek przyśliśmy do sporéj dość wioski. Chciałem zaraz nająć konie i oddalić się co prędzéj z tych miejsc niebezpiecznych; lecz moi towarzysze, mimo wszelkich z méj strony próśb i przedstawień rozgospodarowali się na noc i po trudach podróży w zupełnéj zasnęli ufności. Teraz ja musiałem nad nimi czuwać, bacząc zarazem o mojém i ich bezpieczeństwie. Znudzony tą służbą, zbudziłem z lekka jednego z nich, i począłem jak najłagodniéj przekładać potrzebę niezwłocznego odjazdu i prosić go zarazem o wyszukanie mi koni. Po dwu-godzinném oczekiwaniu wrócił zupełnie pijany, wraz z jakimś człowiekiem, który chciał mi wynająć parę koni z wozem całym jarzynami założonym, bylem tylko wartość odpowiednią złożył u którego w téj wsi gospodarza a to dla wynagrodzenia szkody, gdyby śród drogi kozacy mię napadli i zrabowali. Nie było czasu do stracenia, krótko więc spór zakończyłem, kupując wszystko za 25 duk. Podczas tego targu, naschodziło się wiele osób, przed któremi ów pijak począł się przechwalać ze swéj odwagi, i dopominać koniecznie o wynarodzenie, za oczywiste narażenie się na śmierć dla niego ocalenia. Naczelnik ich uniesiony niby spaniałością powstał nań, mieniąc go nikczemnym, że chciał w téj chwili dopominać się wynagrodzenia za przysługę, do któréj wszyscy zarówno się przyczynili, jednakie znosząc niebezpieczeństwa. Żywa ta sprzeczka otworzyła

słuchaczom pole do czynienia różnych domysłów względem mego stanu; odtąd też poczęli odróżniać mię od reszty moich towarzyszy i oddawać widoczne znaki poszanowania. Uspokoiłem przecie tak niebezpieczną dla mnie sprzeczkę, a bojąc się podobnego jéj powtórzenia, chciałem zostawić naszego pijaka. Lecz z drugiéj strony przyszło mi na myśl, że niebędąc wówczas od nikogo powściąganym, łatwiéj wszystko wygadać może i mnie o rychłą przyprawić zgubę. Dla tego więc wolałem zabrać go z sobą, chociaż zamiast pomocy, przeszkodę tylko i utrudzenie wśród drogi miałem, bo wciąż trzeba go było trzymać, żeby nie spadł i nie zabił się. Jednego zaś z wieśniaków, który mi się wydawał najroztropniejszym, wysłałem do Ambasadora z oznajmieniem szczęśliwego przebycia Wisły. —

Wyjechaliśmy w południe nie wypytawszy się wcale o drogę, żeby w przypadku pogoni, nie wiedziano w którą udaliśmy się stronę; kierowałem się tylko według mego zdania, znając nieco jeograficzne położenie kraju, żeby zaś przebyć Nogat, zmierzałem zawsze do miejsca w którém rozłącza się z Wisłą, zostawiając na lewo Marjenburg obsadzony nieprzyjacielskiém wojskiem. — W ciągu cztéro-godzinnéj podróży minęliśmy ze dwadzieścia wiosek, zajętych przez Sasów lub Moskali, nigdzie nie będąc przez nich zaczepieni. Nieznośny skwar letniego słońca zmusił nas do wypoczynku, który znaleźliśmy w jakimś opuszczonym przy drodze domku; ukryci tam przed okiem włóczących się ciągle nieprzyjaciół, spędziliśmy parę godzin swobodnie. — Nad wieczorem zajechaliśmy do karczmy, tuż nad brzegiem Wisły stojącéj. Moi towarzysze biorąc tę odnogę za Nogat, chcieli się przezeń przeprawić czółnem na w pół przegniłem, które przy brzegu znaleźli. Szczęściem spytany przezemnie wieśniak objaśnił nas, że to jest Wisła, Nogat zaś o półtory dopiero jest mili. Bez tego ostrzeżenia, bylibyśmy przeprawili się na powrót przez Wisłę i samochcąc popadli w ręce nieprzyjacioł. Powiedziałem gospodarzowi, że jesteśmy rzeźniki z Marjenburga i chcielibyśmy przewieść się na drugą stronę, dla zakupienia tam bydła; prosiłem go więc, czyby niemógł wystarać się dla nas o czółno. Ten wykazał nam niepodobieństwo, bo wszystkie statki do przewozu zdatne, ściągnięto do Marjenburga z obawy wojska polskiego, które po tamtę stronę Nogatu zajęło. Ta niespodziana przeszkoda zniweczyła tylo-dniowe nasze trudy i pozbawiła nadziei dostania się na drugą stronę. Przenocowawszy w stajni, na drugi dzień towarzysze moi chcieli koniecznie przejść przez most Marjenburski, ledwiem zdołał ich przekonać, że samochcąc narażamy się na niebezpieczeństwo, bo tamtejszy garnizon przytrzyma nas nieochybnie; lepiéj więc dojść aż na brzeg Nogatu, a dopiero gdy tam nie będzie można przewieść się, wrócimy się do Marjenburga. Po długiéj niezmiernie utrudzającéj drodze przez lasy i wyboje dojechaliśmy do jakiéjś wioseczki. Tam chciałem się zatrzymać i wypytać o drogę, ale moi towarzysze nie chcieli na to zezwolić, utrzymując, że i tak musimy wrócić do Marjenburga, bezkorzystnie zatém i niebezpiecznie ściągać tu na siebie podejrzenie. Tyle ich wszakże zobowiązałem mą prośbą, że jeden z nich wstąpił do najbliższéj chaty. Szczególném zrządzeniem losu natrafił na polaków, a niemogąc się z nimi rozmówić, wrócił nic się niedowiedziawszy. Sam więc zszedłem z wozu i chciałem pójść wywiedzieć się, ale moi towarzysze poczęli się temu opierać, bojąc się, żebym przez swą mowę nie wydał się i ich i siebie nie naraził na zgubę. Zagrozili mi nawet, że mię porzucą. Niemogąc mię przekonać zeszli z wozu i oddalili się nieco. Chętnie na to przystałem, bo mi się już naprzykrzyła ich głupota i zuchwalstwo. Wchodzę do owego domku i zapytuję grzecznie gospodyni, czy nie mogłaby mi dopomódz do przeprawienia się na tamtą stronę Nogatu, gdzie chcemy zakupić nieco bydła na rzeź. Odpowiedziała mi, że niema żadnego statku do przewozu, co zaś do kupna bydła, chętnie mi swoje odprzeda. Przyrzekłem umówić się z nią oto kupno, po mym powrocie, ale wpierw chciałem koniecznie dostać się na tamtą stronę. Poczciwa kobiecina przysłała na to: Widzę żeście dobrzy ludzie — mówiła mi — dam wam mego syna, on was zaprowadzi do swego przyjaciela rybaka, o ćwierć mili ztąd po tamtéj stronie mieszkającego; ten na znak umówiony wyniesie ukryte w swéj chacie czółno i po was przypłynie. Podziękowałem téj dobréj kobiecie i wyszedłem z jéj synem. Moi tchórze ujrzawszy mię z taką ufnością wychodzącego, nieco śmieléj wrócili do wozu. Niebył czas potemu wymawiać im ich nikczemność. Niezadługo stanęliśmy nad brzegiem Nogatu; za danym znakiem, rybak ów wyniósł z chaty małe czółenko i spuścił je na wodę. Jak tylko przybył do nas, wsiadłem zaraz z jednym z moich wieśniaków, zostawiwszy drugiego przy wozie, żeby czekał na swego towarzysza, którego tegoż dnia odesłać chciałem. Tak więc przy widocznéj Boga pomocy przepłynąłem Nogat; w pobliskiéj wioseczce, zwanéj Białogóra, nająłem mały dwukonny wózek, którym przyjechałem do Marjenwerder

w Sobotę dnia 3. Lipca. Ztamtąd odesłałem mego towarzysza z uwiadomieniem do Ambasadora o ucieczce, a sam w bezpieczném już miejscu swobodniéj wytchnąłem po tylo-dniowych trudach i cierpieniach. Niebyłem wszakże zupełnie szczęśliwy, bo radość ocalenia, nieraz zatrutą była tém przykrém wspomnieniem, że tylu braci moich i przyjaciół, których tak nagle w Gdańsku porzuciłem, cierpi teraz w więzach zwycięzkiego nieprzyjaciela. Nie ubolewałem nad nimi, jako nad jeńcami bo to jest przeznaczeniem prawego człowieka, lecz nad okropném zrządzeniem losu, który wbrew ich woli i przekonania oddał ich w ręce nieprzyjaciela, przez tak krzyczącą niesprawiedliwość nad nimi tryumfującego! —

Nazajutrz po mym przyjeździe do Marjenwerder odzyskałem mego wiernego przyjaciela.

Poezye.

IZRAELITA
na gruzach Palestyny.

Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów, i wskrzesić postaci
Zmarłéj przeszłości; gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy, do serca współbraci;
Możeby jeszcze w téj jedynéj chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy;
I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie, niegdyś całe życie.

A. M.

Na wschodnich niebios lśniącym się lazurze,
Miesiąc roztacza wspaniałe swe koło
I w przezroczystéj nurzając się chmurze.
Skryje i znowu ukaże swe czoło.

I złoty wieczór płomienistym wieńcem,
Dumne gór szczyty wspaniale ukrasił;
I niebo oblał gasnącym rumieńcem,
I w falach rzeki swe pochodnie zgasił.

Ciemność oblekła horyzontu krańce,
Księżyc już zawisł na Hermonu (*) szczycie,
I gwiazd tysiącznych srebrzyste kagańce,
Noc rozwiesiła po modrym błękicie.

I skały nagie, a lasy zjeżone,
Nad których głową szumny wiatr szeleszcze,
W olbrzymie kształty nocą podwyższone,
Dziką krainę, dzikszą czynią jeszcze.

I smutno, tęskno pośród okolicy —
Cała natura głuchą świeci ciszę;
Ledwie ptak przemknie lotem błyskawicy,
Albo się drzewo z cieniem zakołysze.

Lub stamtéj strony jakby orzeł lotny,
Obok zgrzybiały na niebios przestworze;
Kołysząc piersi żegluje samotny,
I złotem skrzydłem jasny szafir porze.

W tém — jakiż szelest powstał u parowu,
I cień tam zdala rozszérzył się bury?
Ukazał, zniknął, i zjawił się znowu,
— To młodzian wstąpił na wierzchołek góry.

Twarz jego smutna i wzrok miał omdlony,
Wolnym szedł krokiem, pochylona głowa;
Westchnął głęboko, i z piersi ściśnionéj,
Posępnych uczuć te wylewał słowa.

„Nieodgadniony Feniksie natury,
Co ogrom światów dumném okiem mierzysz,
W grube zagadki uwikłany chmury,
Przeszłość i przyszłość w swoich szponach dzierżysz,

Czasie! Ty w twoim niezgłębionym łonie
Pochłaniasz wieki, a ich straszne szczątki
Unosząc po nad niepamięci tonie,
Zbierasz troskliwie do skarbu pamiątki.

O cofnij skrzydło! niechaj w tamtę stronę
Duch mój się wzniesie nad tą martwą ziemią,
Kędy letargiem przeszłości złożone,
Wieki w mogile zapomnienia drzemią.

Drzemią — lecz jeszcze obudzić się mogą
I dawnym blaskiem zaiskrzyć, zaświecić,
I ową świetną znów postąpić drogą
I w piersiach zmarłych promyk życia wznieeić.

Bo choć te martwe odwieczne Mumije,
Leżą dziś grobu więzione ukryciem
Kiedy ocknienia godzina wybije,
Dawniejszém, wielkiém, znów zakwitną życiem.

I znów zbudzone zabłysną jak słońce!
I laty promieni rozsypią tysiące,
Które wielkości płomienistą tęczą,
Umarłych Ojców grobowce uwieńczą.

I złotą lawą po świętéj kolei
Zdumione ziemskie przebiegną kolisko,
W każdego piersi rzucą skry nadziei
I w jedno ducha zleją je ognisko.

(*) Góra w Palestynie.

Puszczajcie! z grobów niech zerwę całuny
Niech myśl do każdéj mogiły zawita,
I ojców szczątki z zimnéj budząc trumny
O dawną, wielką wolność się zapyta.

Wolność!! — ten wyraz pomnę Izraelu,
Po raz ostatni do ojczystéj sprawy,
Podżegał mężów, poświęcił ich wielu (†)
I skonał razem na grobie ich sławy!

Tak świetna lampa kiedy już się mroczy,
Płomyk się chwieje — już kona, już gaśnie,
Ale nim skona raz jeszcze roztoczy,
Jeden blask wielki — raz jeszcze, i — zgaśnie,

Dziś Izraelu! dawne zgasło plemie...
W zimnych duch ojców piersiach nieodżyje —
Jak cienie głuchą przebiegacie ziemię
Wy zmarłych wieków, żyjące Mumije!

Wszędzie was losu ściga ręka twarda,
Miotani wszędzie burzą i zawieją,
Życia waszego jest godłem — pogarda,
Rospacz — żywiołem, ciemny grób — nadzieją! —

A wy dawnego kościoła ostatki!
Z zwieszoném czołem w posępnéj żałobie,
Wy nieme bytu i nicestwa świadki,
Dumacie smutnie na zniszczenia grobie.

Czemuż to piętna ciążącéj sromoty
Z dumnego niegdyś niezdzieracie czoła?
Czemuż głos dawnéj bogobojnéj cnoty,
Zamilkł — i wiernych do Boga niezwoła?

Lub czemuż ognia, który śród was pionął
Nierozsyłacie w Izraela żyły?
By ku ich sercu raz jeszcze zawionął
I dawne zmarłe znów obudził siły"!.."

Młodzieniec skończył — dzikimi ciska okiem,
Jak gdyby w szranki puścić się gotowy,
I długo jeszcze wrzących słów potokiem,
Roznıecał żary zapalonéj głowy.

A potém zamilkł — oko zarył w ziemię,
I z ciasnéj piersi wycisnął westchnienie,
Jakieś żelazne tłoczyło go brzemię,
Bo twarz wewnętrzne wyjawia cierpienie.

I piersi w zwarte tak uciska dłonie,
Jak gdyby serce chciał przytłumić w sobie;
I znowu westchnie — i w myśli utonie,
Zbudził się wreszcie i zawołał „w grobie."

„Tak tylko w niebie, gdzie Edenu wrota
Jest naszych uczuć i myśli kraina;
Grób jest nam progiem szczęsnego żywota,
A wielka wieczność Ojczyzna jedyna.

(†) O męstwie i poświęceniu się Izraelitów podczas ostatnich wojen, ich dziejów.

Tam niema rodu ni stanu różnicy,
Tam niknie wzgarda i nienawiść sroga;
A choć bez kraju, biedni niewolnicy
Wszyscy są równi przed obliczem Boga!"

To rzekł, i jeszcze raz westchnął głęboko,
I usiadł smutny na wierzchołku góry,
Po gruzach kraju, powiódł tęskne oko,
I potém w niebo zwrócił wzrok ponury.

A kiedy nocne już cienie znikały,
Unosząc całun co ziemię omroczył,
Gdy pierwszy słońca promyczek nieśmiały,
Z chmur się kolebki nieznacznie wytłoczył,

I róży piersi odsłonił wstydliwéj
I wieńczył czoło schylonego kłosa,
On jeszcze siedział, ale już — nieżywy:
Bo z okiem — dusza wzleciała w niebiosa! —

Juljan Klaczko.

Skąd ciemnota ludu wiejskiego pochodzi, i jakie jéj powszechne wady.

Ciemnota ludu wiejskiego nosi na sobie piętno wieków, srogość i nieugiętość tych, którzy wzniósłszy się nad motłoch, utrzymywali tenże w religijnéj prawie ku sobie bojaźni, by z sił tłuszczy korzystać, by ją wprzągać w jarzmo dla zbierania bogactw, dla doprowadzenia do celu swych dumnych i pełnych chciwości zamiarów.

Żyjąc początkowo ludy w familijnym związku tylko, przenosząc się z miejsca na miejsce dla pozyskania piękniejszych albo też żyźniejszych okolic, dla utrzymania siebie i wyżywienia swych inwentarzy; szczęśliwi i spokojni w ojcu swym władcę i pana znajdowali i z rozkoszą jego wyrokom poddawali się. — Z czasem wzmogłszy się i rozłożywszy w osadniczy sposób, napadani przez przechodnie lub sąsiednie ludy, ten dla nich był bożyszczem kto potrafił najezdnicze hordy, od ich cichych zagród oddalić, i jemu losy swe, jemu swe dobro w hołdzie przynosili. Takie uwielbianie przenosiło się na jego potomków, i ci losami ich rozrządzali, a mając większą sposobność jako możniejsi poznania ościennych ludów zwyczajów i obyczajów, zasmakowawszy w próżniactwie i zbytkach, starali się to tylko utrzymywać pomiędzy ludem co do ich dobra, do ich utrzymania na powadze i wyniesieniu zmierzało; a światło pra-

wdziwe i uczucie człowieka w zwierzęcość starali się zamienić, by tym łatwiéj tłumami ujarzmionych zwierząt według myśli i chęci władać mogli. Dla utrzymania się na wytkniętéj drodze, utworzono sobie więc bogów, powymyślano cześć dla nich w piętnach srogości i okrucieństwa, w miarę potrzeb i usposobienia ludu; i oddano tę władzę w ręce kapłanów; a ci spiknąwszy się z panującemi, pełne przestrachu i zgrozy wieści pouklecali na których rolę mającą im tylko owoce przynosić uprawiali. — Tak lud ochłoniony przez takie dwie kasty szczęśliwy był wtenczas nawet, kiedy pot jego, krew jego spijali, i spoglądał na nich jak na wyższe istoty przeznaczone li tylko do uszczęśliwienia go; i już daléj myśleć, nie mógł podołać. —

Okuty lud w takie kluby, wprzężony do jarzma, musiał tylko uwielbiać to co mu kazano, musiał tak myślić i czuć jak jego panowie chcieli, zwierzęcości granic nigdy nieprzekroczyć, gdyż jedyne lekkie uczucie wyższego dążenia, najmniejsze powątpiewanie w ich świętość i nietykalność, wprawiały ich katów w największą złość i oburzenie, i ściągało na te massy zwierzoludów najokropniejsze męczarnie, niesłychane katusze. —

Kiedy potęga panów ziemskich i świetność ich władzy do najwyższego szczebla doszły, kiedy kapłani i filozofowie ubiegali się za tym tylko jakby w najlepszy i najmocniejszy sposób dowieść ludowi, że on przeznaczony do dźwigania jarzma, do ślepego posłuszeństwa tym, którzy go li tylko uszczęśliwić potrafią; zwracając ich całe uczucie i ich dążenie do zwierzęcości; w uśmiechu pana, w łagodném jego spojrzeniu kazali mu swą rozkosz, swe niebo znajdować. —

Tak utresowawszy lud, jakikolwiek władzca ubiegał się jeden nad drugiego jakby lepiéj dogodzić swéj chęci, a zacząwszy od najwyższego do najniższego pana mordował i gnębił mocniejszy słabszego; na tym gruntując swoją powagę, świetność swego domu. — Takto wygnana swoboda od ludu — cierpienia, niedolę pozostawiła, a ciemnota ogarnąwszy swym czarnem płaszczem umysły, wszystkich pod panowanie podbijać poczęła i ledwo w ręku niektórych słaby promyk światła błyszczał.

Byli wprawdzie filozofowie, którzy utrzymywali równość przeznaczenia człowieka; ale ich położenie częstokroć zawisłe od panów — a i oni piszący więcéj pięknie jak działający — mając serca słabe, niemogli tak silnego głosu wydać, któryby do serca trafił; a najwięcéj obracając się z nauką tam, gdzie bogactwa i byt dobry były bożyszczami, a uciemiężanie i przemoc życiem, nauka ich padała na słabą i nikczemną rolę i nigdy téż owoców plennych wydać nie mogła.

Przyszedł nareszcie człowiek, a ten popchnął ludzkość do najwyższego szczebla potęgi i siły; on w całém świetle i majestacie przeznaczenie człowieka postawił i zdarł zasłonę tak mocno ćmiącą wzrok ludu, tak ciężko walącą się na rozwijanie się ich władz umysłowych. Nauka jego świetna jak blask słońca, tak silna jak potęga Boga! tak prosta jak niewinność dziecięcia, trafiała do serc prostych i lud go zrozumiał i pojął. — Nie udzielał on jéj pomiędzy uhermbowanymi, albo téż świetnością bogactw łyszczącymi, ale udał się do prostaczków — a słabych rybaków zamienił w olbrzymów, i ci potęgą jego nauki cały świat podbili, a despotów siły i okrucieństwa jéj popędu wstrzymać nie podołały. — On wykrywał na jaw obłudę i fałsz faryzejskich uwodzicieli ludu, on blichtry i czczy dym szumnych tytułów zdmuchnął, i pozostawił człowieka w prawdziwém jego znaczeniu, wskazawszy drogę do tego celu.

Spostrzegłszy to fałszywi filozofowie i próżniaki uzłocone, spiknęli się i wyrzekli: zabijmy tego człowieka, a z nim skończy się wszystko, bo on niesie wolność i światło ludowi.... ale wyrzekli głupio — bo ziarno rzucone na tak bujną rolę, ziarno rzucone na serca, nie na zimne rozumy pielęgnowane i podsycane krwią ludzką, wydawało coraz to obfitsze owoce, coraz to silniéj ogarniało niezepsute serca i pędziło swą siłą jak wezbrany potok, zagarniając pod swe panowanie i zatwardziałych i za mocno przywiązanych do swéj ziemskiéj świetności. — Despotów noże i rozumy stępiały nad nieugiętą stałością początkowych chrześcian; a ich poświęcenie się dla swego mistrza, ich wytrwałość przy boskich zasadach jego, zwyciężała serca zakamiałe; i oni w końcu zgięli kolana przed potęgą i świetnością tego niebiańskiego światła i sami pod to słodkie jarzmo karki swe dumne ugięli. — Ale o słabe i zepsute serce człowieka, zwichnęłoś z wiekiem swój popęd ku niebu, a ujęte czczością ziemskich bogactw, w nich swego szczęścia i bytu szukałoś!! —

Zadrżał każdy pan i możnowładzca tylu poddanych, spostrzegłszy rozwijanie się sił ludu mocą niebieskiego światła; zadrżał, — a nie mogąc zasnąć na złoconém łożu, gdy wyszukiwał środków, któremi by mógł zwichnąć popęd téj nauki, któremi by mógł

osłonić to nieskalane światło cisnące się tak silnie do serc ludu — przetrawił noc bezsennie — poranek wśród rozpaczy i złości przepędził! — potraw zaprawionych na złotych półmiskach, pożywać nie może, bo jemu łez ludu! potu ludu potrzeba! roztrąca wszystko co napotka — aż przecie zaszedł w końcu do skarbów nagromadzonych i w swéj zapamiętałości dotknął się ich, skrzypły zawiasy — i w całym blasku uderzyły bogactwa w oczy jego — krzyknął znalazłem! — i porwał w uniesieniu radości za skrzynie i rozsypał złoto! — o! czy myślicie, że chybił? — nie — doszedł do celu — a lud na nowo obstawiony straszkami, ujęty w kluby ślepego posłuszeństwa, nie mógł inaczéj myśleć i wierzyć, jak że namaszczony przysłany na świat na to by krew ludzką spijał — a którego z śmiertelnych to spotka, za szczęśliwego, za błogosławionego mieć się może. —

Ta myśl spłynęła jak błyskawica na magnatów i panów, a w lud nieszczęśliwy piorun uderzył, i zgruchotał całą budowę niebiańskiéj przyszłości! — zwaliły się na niego barbarzyństwa, katusze, knut i poddaństwo — uważany na powrót za zwierzoczłeka musiał w pocie czoła, w łzach krwawych uprawiać ziemie nie dla siebie, ale dla panów, by ino mogli się po złocie walgać. —

Wskazano drogę zbawienia — a krok śmielszy do przekroczenia téj wskazanéj drogi wpychał w tém życiu na rusztowania, a po śmierci do piekła! — Tam smażony w smole, kuty nielitościwie młotami djabła, tak straszną miał przyszłość jaką była teraźniejszość, gdyż krok takiéj śmiałości pędził go pod grad knutów, albo na zgnojenie w lochach podziemnych. — W taki to sposób odebrano ludowi uczucie człowieczeństwa, karany, wepchnięty w odmęt, otoczony strachami, obsypany widziadłami, stracił wątek myśli boskiéj i wśród ciemnoty i błędu nie mógł wznieść swéj duszy nad tę ziemską znikomość, i coraz więcéj a więcéj oddalał się od naukowości. —

Tak okiełznany lud mając jeszcze początkowo panów litościwszych, mając panów nie odpadłych zupełnie jeszcze od czystych zasad téj boskiéj téj pełnéj czułości i miłosierdzia nauki, był szczęśliwy pod ich panowaniem i zapomniał nawet o naukach, o wolności swéj początkowéj; — ale że to czas wszystko pogorsza, a wkońcu niweczy, — tak też i uciemiężanie, gnębienie w miarę wieku wzrastały, a następnie ciemnota ogarniała strwożone umysły. Zrobiony taki przedział pomiędzy ludem a wywyższonemi, zrodził niezaufanie, podejrzliwość, a ztąd podstęp i obłuda wzrastały. Chłop musiał się przemyślnie przed cięgami nielitościwego podstarościego ochraniać, albo kiedy ten upatrzył w niesłuszności swéj, słuszność knutowania chłopa, a ten nie mógł się wymodlić, to nosił zemstę w sercu, choć pozornie stopy pana lizał — albo w nikczemności swéj magierki koło gmachu przechodząc na głowie utrzymać nie mógł, — i szukał środka w jakiby swéj dogodzić zemście; albo też w nieszczęsnym trunku szukał zatopienia swych zgryzot, jeżeli mu czas od pańszczyzny i darmoch pozostał. — Tak stopniowo ciemnota ogarniała wszystkich umysły, że w powszechnym potopie głupstwa cały świat zatonąć miał — tylko mężowie poświęcenia, mężowie przejęci miłością ludu i przesiąkli mistrza boskiego nauką — odstrychnąwszy się od świata zakonu, przechowywali tę wielką iskrę, która ma ród ludzki w jednę familię zjednoczyć, które ma miłość i braterstwo utwierdzić. —

Postępowanie takie wytrąciło do reszty z duszy niższéj klasy ludu — jak utrzymywano — nawet myśl uczenia się; gdyż ta spoglądając na tych, którzy nauki posiadają, że są bez serc, bez duszy! — a oni częstokroć w prostocie i niewinności swéj ich uczucia przewyższają, zrzekli się nauk i ta myśl z pokolenia do pokolenia pielęgnowana, zrodziła to przekonanie w nich, że oni do niéj nie są stworzeni. —

Znaleźli się mężowie przejęci miłością ludu znękanego, a który jest godzien wyższego losu, i wylali się na wskrzeszenie nauk pomiędzy nim. — Pozaprowadzali szkółki i pourządzali każdę według swych zasad i chcieli zimne rozumy zagrzać. — Przysposobione materyały metodycznym i obrachowanym sposobem udzielali, a więc machinalnie rozum człowieka tressowali — iskry zaś boskiéj zabrakło do rozruszenia serc, duszy! — To jedyne uczucie, samodzielność pojęcia samego siebie, może człowieka wznieść do wyższych sfer, może mu wskazać, że on dzieckiem Boga! — że tylko czyny godne takiego dziecka pełnić, że on bratem wszystkich równą wolność i swobodę posiadać powinien. — Że czyny święte, czyny przynoszące błogie owoce ludzkości, choćby od najzepsutszych serc uwielbiane być muszą i swym dobroczynnym wpływem umysły zastygłe nawet ogarniają; jest niezaprzeczoną prawdą; tak też pierwsze kroki tych mężów wielkich zostawiły ślady dobre, i pomysł ich do życia przyprowadzony przez rządy został.

Szkołki zaczęły przyozdabiać okolicę. — Uchybienie i tu popełniono wielkie, nakazano chłopu składać pieniądze, materyały sprowadzać, a częstokroć nie zważając na brak pociągu, stósowność czasu albo też niedostatek domowy, exekucyą zagrabiając ostatni zasób jaki mógł jeszcze posiadać aby świątynię światła postawić; a to nowa katusza dla nich, nowy przedmiot godny ich przeklęctwa! — Prawda, odpowie mi niejeden: — „że zwierza na trawę gwałtem ciągnąć potrzeba, bo ono niezna celów mądrego człowieka." To zwierza! — ależ brata twego? — ależ dziecko Boga? — czyż nie wypadałoby było wprzód przysposobić go, by on sam z przekonania z pod duszy wyrwał grosz ostatni a ujmując sobie, dzieciom w potrzebie, niósł chętnie w ofierze na ten przybytek mający być przyszłego szczęścia jego podporą.

Stanęły wreszcie domy pouposażane, ale czemże? — znowu składkami, które z krwawego potu ludu wypływają. Tutaj popełniono dwa uchybienia nie zważając na to, że nauczyciela postawiono w głupiéj wyobraźni chłopa jak najemnika, jako parobka jego, bo on mu daje myto; stracił więc nauczyciel na powadze i uszanowaniu; a chłopu wydarto czasem ostatni kawałek chleba, którego zgłodniałe dzieci przyszedłszy ze szkoły wołając wyrywały z piersi ojca gorzkie narzekania, przeklęctwa.

Nareszcie już wszystko gotowe i uporządkowane, ale nie było dosyć szafarzów mądrości przysposobionych: odezwano się do uzdatnionych i chęci mających. — Pospieszyła ćma zgłodniałych próżniaków, nieumiejących cenić swego wielkiego powołania, a częstokroć dla pijaństwa lub zepsutych obyczajów wzgardzonych w swoich wydziałach. — Tak więc szkółki wiejskie, ex pisarzami — ex mularzami, — ex szewcami — ex organistami, albo ex lokajami zapchane zostały; bo każden taki mając bardzo często po sobie udystyngwowanego kuzyna, albo protektora i dobrodzieja z urzędnika, a mając zwykle od dawniejszych pryncypałów — pod pozorem nieszkodzenia człowiekowi, a nie zważano na to, że tysiące dla jednego zabijano moralnie - zaświadczenia dobrych obyczajów i zdolności udzielone; został na największe nieszczęście biednego chłopa, nauczycielem: bo ten i grosz w pocie czoła złożony tak marnując opłacał tego, który w miejsce światła i zbawienia jako wyzuty z szlachetnych uczuć, nieumiejący cenić swéj godności i powołania, niósł mu zgorszenie i zepsucie.

Nie tu koniec złemu — cóż było robić, szkółki stanęły — przecięż choć stróżami przynajmniéj takie domy zapchane być musiały, gdyż w przeciwnym razie same sobie zostawione rozkradzione by zostały. Jeszcze więc niezapełniono wszystkich miejsc, sprowadzono zatém wyrzutków tak ich których dla zepsutych obyczajów posuwać na posady nie chciano. Taka rasa ludzi wyzuta z uczuć człowieka zamieniła szkołki w domy opilstwa. — O zgrozo! z boleścią to mówić muszę, bo miłując lud wolałbym dla ich dobra żeby to kłamstwem było, ale cóż, doświadczenie nauczyło, że tak jest — a przecięż kreatury takie, pochwały, praemia odbierały! —

Co najboleśniejsza pozostaje do powiedzenia, jest to, że stan duchowny mało poświęca uwagi szkółkom, nie pomnąc nawet na to, że tu się mają dla niego niejako parafianie tworzyć. — Ależ krzykną: dobrze ci pisać próżniaczy nauczyciela nie mający zatrudnienia — ależ to tu parafia kilko-tysiączna.

Prawda przy braku duchowieństwa nawał czynności duchownych jest wielki, ale czyż to dla przyjaciela ludzkości dla kapłana jest uniewinienie? — Kapłan każdy już powołaniem swojém ma wielki wpływ na lud; jego słowa tym mocniéj trafiają do serc, kiedy on przykładem i czynami okazuje szacunek dla szkoły. — O i to częstokroć nauczyciel uważany jako podrzędna figura — nie ceniąc nawet jego wartości według umiejętności, zasług; — czy to w urzędowéj czynności czyli też przy jakiéjkolwiek prywatnéj okoliczności stara się częstokroć okazać kapłan ludowi, że on jest wszechwładzca mogąca zetrzeć tego robaczka, wygnać ze służby jako parobka swego: skoro według woli lub myśli pana inspektora nauczyciel nie działa. —

Tak więc chłop jako chłop wykluczony dotąd jeszcze z rodzaju człowieka, łazi w zabobonie i błędzie! a nauczyciel, jako chłopski nauczyciel, jako jego służalec uważany, postępu żadnego uczynić nie może, bo zanadto moralnych morderstw zdążających do utrzymania go w niewiadomości. — Upowszechnienie oświaty nie naszemu wiekowi zostawione — a może i przyszłości nie, bo brak ducha poświęcenia! brak zamiłowania ludzkości miłością wyższą, miłością ognistą, miłością Chrystusa! — a ten jedyny środek jest do zamordowania błędu i ciem-

noty. — Bezwstydna osobistość ochłonęła serce, rozumy! i każdy dla interesu własnego poświęca niby wszystko a najbardziéj o sobie myśli — ale uderzy straszna chwila sądu, a Ludy zawołają, inaczéj pisałeś, inaczéj działeś, a wtenczas biada! — biada! — biada!

Korrespondencya.

O mającéj wyjść Estetyce bezimiennego autora.

Ma wyjść dziełko — dotyczące sztuk pięknych — bezimiennego autora; aby dać o niém zawczasu wyobrażenie przytoczymy z rękopisu autora kilka ustępów. Niebędzie to dziełko snać zupełnie na równi z czasem a co gorsza — będzie o ile sądzimy zbyt treściwie i dorywczo zebranem, — lecz gdy wyjdzie czas będzie sądzić teraz posłuchajmy autora. —

WSTĘP.

Jak w literaturze odbija się stopień wiedzy i bogactwo piśmiennictwa narodowego, tak w sztukach pięknych każdy lud wyraża drugą stronę swego życia moralnego, swoję poezyję. Literatura jest filozofią narodu a sztuka jego poezyą, kołem wieków myśl płynie z pokoleń w pokolenia, w literaturze zamknięto jéj postępy i rozwijanie się stopniowe, ale myśl narodu nie tylko wyraziła się piórem i spoczęła w księgach; spotykamy ją równie wydaną w pomnikach i zabytkach sztuki: częstokroć one nam tylko służą do zbadania ducha upadłych wiekami ludów, do odczytania zatartych śladów dawnego ich życia i bytu. Tak więc sztuka w najogólniejszém jéj pojęciu zajmuje drugi biegun w życiu historycznem każdego narodu. Poznawszy literaturę i sztuki te dwa tylko mające wyrazy z dziejów najodleglejszych narodów i wieków łatwo przychodzimy do znalezienia ogólnego wyrazu ich cywilizacyi i kultury. Literatura i sztuki uwieczniają narody przekazując potomności to co w nich było prawdziwie nieśmiertelném — to co myślą wyrobiły oraz jak daleko posunięto u nich duchową ludzkości robotę — to jest o ile człowiek postąpił w świecie myśli i wyobrażeń, tak pod względem religijnych filozoficznych jako też towarzyskich pojęć. Literatura więc i sztuki podają najpiękniejsze kwiaty do wieńców historyi któremi ona stroi żywych narodów dzieje lub je na grobach umarłych zawiesza.

O sztuce w ogólności.

Piękność jest celem sztuki — sztuka jest jéj formą i ciałem, chcąc więc rzucić ogólne pojęcie sztuki należy mówić o piękności; tu spotykamy nowszą naukę która się tym przedmiotem wyłącznie zajmuje a tą jest Estetyka. Estetyka jest filozofią piękności jako przedmiot uważany — ale jako filozofia ostatecznych zasad mądrości i wiedzy ludzkiéj podać niemoże tak podobnie i Estetyka stanowczego sądu i zdania o piękności orzec nie podoła. (*) Obiedwie te nauki odsyłają nas drogą swoich badań i rozumowania do źródła wszech wiedzy i piękności a tém jest Bóg. On jest tą żywą krynicą objawów i cudów w świecie myśli natury i sztuki z któréj wszystko wypływa i do któréj wszystko wraca. Sztuka więc jako objaw boskości winna mieć za cel twórczość i piękność. Piękność! jakiż to czarodziejski wyrzekliśmy wyraz — ileż to w jego głębiach leży skarbów, uczuć myśli ile tajemnic i cudów. Piękność ta matka wszech świata którą Bóg zapłodnił w chwili stworzenia zawsze zostanie osłoniona obłokiem w swoich dziewiczych wdzięków nagości przed okiem człowieka. Piękność bezwzględna jest królową bożo-stanu Boga tylko widzą jéj lica i uśmiech — o niéj jako pierwowzorze doskonałości marzyć nam tylko wolno na ziemi. Bo gdybyśmy ją ujrzeli na chwilę wtedy rozgorzelibyśmy tak silną żądą ku niéj, że tracąc się w sobie samych przestalibyśmy być ludźmi a stalibyśmy się aniołami. Lecz człowiekowi na ziemi wolno tylko być człowiekiem, inaczéj popsułby się odwieczny porządek i harmonija stworzenia. Objawiona natura nie wystarczała by mu więcéj byłby rośliną innego nieba w obce przeniesioną strefy. —

Piękność więc w stosunku z ludźmi, niejako w samej sobie w swéj bezwzględnéj istocie objawiona staje się podmiotowem indywidualném wyobrażeniem czyli to pojedynczy ludzie czyli narody o niéj sądzą. Z tego stanowiska nie można dojść do pokazania i oznaczenia typo- i pierwo-wzoru piękności bezwzględnéj — bo sztuka ziemska będąc formą zewnętrzną zmysłowi z tła ducha wysnuwającą swoję przędzę objawu i wcielenia, może tylko jakeśmy rzekli, tęsknić i marzyć za bezwzględnéj pięknośi słońcem.

(*) *Te zdania są bezmyślne.*

Red. Tyg. lit.

(Dokończenie nastąpi.)

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w poniedziałek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Stefańskiego*